ROZMAITOŚCI.

Dnia 25. Maja | Nr 21. | Roku 1844.

Odstrzelona noga.

(Dokończenie.)

Będąc jeszcze pełen wrażeń okropnéj sceny, któréj właśnie przed chwilą byłem świadkiem, wybłąkałem się nareszcie na kurytarz, prowadzący do naszego schronienia. Idąc spojrzałem mimowolnie przez okno, a tam nowy zajął mię widok, nie mniéj swoją nocną pięknością uderzający jak i owe wojenne widowisko, któremu się za dnia dziwiłem.

Byłyto nocne, obozowe leże wielkiéj nieprzyjacielskiéj armii.

Niezliczone ognie otaczały klasztor, rynek i miasto. Cała okolica była jakby ogromnym pożarem oświetlona. Nieprzejrzany natłok żołnierzy, których wokoło tych palących się stosów drzewa widziałem, wydawał mi się w swoich pojedyńczych, nocnym odblaskiem ognia zczerwienionych postaciach, jakby owe fantastyczne ćmy duchów innego świata, czarodziejskiém zaklęciem swojego pana i mistrza na powierzchnię ziemi wywołane.

Ten nieustanny, zawiły ruch, ten dziki gwar, ten przeraźliwy tartas, które tam panowały, jest nad wszelki wyraz i nie do opisania!

Nadewszystko dziwiła mię ta niczém nie stroskana wesołość obozujących, którzy zaledwie z morderczego boju wróciwszy, znowu na mordercze boje spieszyli.

Przy każdém prawie osobném koczowisku odzywały się pieśni co raz innéj treści.

I tak z jednéj strony brzmiały spiewy o Robespierze albo Maracie, tuż w poblisko-ści słychać było sławną marsyliankę, daléj rozchodził się odgłos toastów i hymnów na cześć Napoleona.

Około ognia, gdzie się zapewne wielu septembrzystów znajdowało, wygłaszano osławioną piosnkę 10. sierpnia.

Ztamtąd w niejakiém oddaleniu opiewano chórami, na bardzo piękną nutę, bohaterkę *Charlotte Corday*.

Na rynku, przed oknami cesarza, grała wojenna muzyka najpiękniejsze symfonije i rozmaite marsze.

Tuż podemną przy najbliższém ognisku, przygrywał ktoś cudownie przez całą noc na flecie.

Jedynym, ale wzniosłym i pocieszającym kontrastem tych dzikich, zawiłych krzyków i dymiących się słupów ognia, było ciemnolazurowe, niezmierzone sklepienie niebios, z owym milczącym, tajemniczym przepychem swych gwiazd odwiecznych.

Jakieś trwożne, ostrzegające przeczucie zapowiadało mi, iż moje biédne rodzinne miasto zamieni się téj nocy w pogorzelisko. W niepojętéj bowiem lekkomyślności porozkładali Francuzi swoje ognie tak blisko koło dachów i gumien, że niepodobna prawie było, aby ztąd nie wynikło wielkie nieszczęście, które przecież im samym mogło się stać niebezpiecznem.

Przetężenie moich sił cielesnych i umysłowych, wyczerpanych prawie zupełnie tylorakiemi wypadkami całego dnia, skłoniło mię nakoniec udać się około północy na spoczynek. Lecz niebezpieczeństwo, które nas otaczało, równie jak i niepewność przyszłych wydarzeń, nie dały nikomu z nas ani na chwilę spokojnego snu.

Z przezorności pokładliśmy się wszyscy nierozebrani na naszę dorywczą pościel.

Tak spędziłem może jednę godzinę, to budząc się, to znowu zapadając w sen niespokojny, w którym Kroat z odstrzeloną nogą główną odgrywał rolę — gdy oto za je-

dnym razem przeraził nas wszystkich ponuro-przewlekły krzyk: *»Pali się!«* Cała okolica była straszliwie jasno oświécona!

W téjże samej chwili otworzyły się nagle drzwi, a głos jakiś zawołał: »Wstawajcie! Wyższa część miasta gore — ogień zbliża się do klasztoru!«

Ta wiadomość przeraziła trwogą i przestrachem moich towarzyszy: wielu z nich miało w mieście domy swoje. Przez pożar zostali żebrakami.

Każda chwila powiększała niebezpieczeństwo; trzeba było spieszne powziąć postanowienie.

Spakowaliśmy więc na prędce wszystko co było większéj wartości, aby w przypadku zajęcia się klasztoru, uciekać ztém w dalsze strony; lecz dokąd — w pośrodku nieprzyjacioł? — Tego nikt z nas nie wiedział.

Dopiéro po cało-godzinnéj dręczącéj niespokojności, dowiedzieliśmy się o tém, iż za pomocą wspólnych usiłowań księży i samychże Francuzów, ocalono przecież klasztor od ognia, który już był zajął dach dzwonowéj wieży.

Odetchnęliśmy wszyscy swobodniej, a nieme, jednakże pełne najwymowniejszéj i najtkliwszéj wdzięczności spojrzenia nasze, podniosły się ku niebu!

Chociaż dopiéro była druga godzina po północy, nikt z nas już o śnie nie myślał.

Podzieleni na rozmaite grupy, spędziliśmy resztę téj okrutnéj nocy na wzajemném udzielaniu sobie naszych trosek i nadziej.

Około czwartéj z rana przybiegł sługa klasztorny i zawołał: »Kto chce widzieć Bonapartego, niech się spieszy, gdyż opuści natychmiast klasztor.«

Ja, i jeden z moich kolegów, aby ujrzéć z blizka tego wielkiego męża, odważyliśmy się zbiédz na dziedziniec klasztorny, przepełniony wojskiem.

Ledwieśmy tam przybiegli, już wyszedł Napoleon otoczony od świetnie ubranych sztabowych oficerów; on zaś sam był w swoim prostym, szarym surducie, i miał ów sławny mały kapelusz na głowie; przeszedł tuż koło nas przez długie rzędy czekającego gwardyi, i u bramy klasztornéj wsiadł spokojnie na swego siwca.

Każdemu z sług klasztornych, który świcie cesarza usługiwał, dano po napoleondorze w nagrodę.

Tak tedy spełniło się moje życzenie: widziałem owego męża z surowém, bezbarwném z głazu obliczem, które równie przy gromach zwycięztwa jak i przy najsroższych scenach nieszczęścia, zawsze niezmienne pozostawało.

Byłto zwycięzca z pod Marengo i Austerlic, który opromieniony zorzą świetną swéj sławy, koło nas przechodził, a którego blasku jeszcze ni Lobau ni Berezyna nie śmiły. Któżby wtedy był pomyślał, iż ten zwycięzki tytan, pod którego krokiem cała niegdyś Europa drzała, po latach nie wielu, z dala od widowiska swych czynów, na samotnéj, skalistéj wyspie, od swoich nieprzyjacioł strzeżony, życie zakończy!

Ale jak wszyscy przed nim, tak i on sięgnął po koronę świata, nie rozważywszy w dumie swojéj, iż żaden z śmiertelnych, chociażby on nawet żył wieki kaukazkich lodowców, nie zdoła nigdy wszystkie tysięczno-języczne narody w jednę niewolniczą połączyć gromadę.

Wyszedłszy zwycięzcą z boju z ludźmi, wyzwał zuchwale naturę do walki. Lecz natura sprzymierzona z służebnémi sobie żywiołami i z wiarołomném szczęściem, szydziła z śmiertelnika igrającego życiem ludzkiem i losami narodów!

Ta prawa, święta natura, chciała nasz świat na pożądliwość nienasytną chorujący, przykładem nauczyć: iż ona jedna tylko od czasów stworzenia jest ową odwieczną siłą, która niezmienne stanowi prawa, nie zaś śmiertelni, z każdą chwilą przemijający ludzie, których ona dzisiaj do życia wskrzesi, a jutro śród ich najgórniejszych zamysłów, w popioł zamieni!

Wyjazd cesarza z klasztoru, dał gwardyjom znak do wyruszenia w pochód.

Ledwie gwardyje odeszły, rozpoczęło się nanowo przeciąganie oddziałów wojska przez palący się jeszcze po części rynek, który przedstawiał smutny obraz wielkiego pogorzeliska.

Strach było patrzyć jak francuzka artyleryja, narażając się z prawdziwą zapamiętałością na niebezpieczeństwo być wysadzoną w powietrze, gnała w największym pędzie

z wszystkiémi działami i prochowémi zasobami pomiędzy palące się domy i po-pod okna, z których kłęby dymu i strumienie płomieni buchały!

»Jeżeli nie chcecie być grabarzami umarłych, więc ztąd uciekajcie!« przemówił ktoś za nami. Byłto sędziwy staruszek, duchowny klasztoru, który nam pokazał w małéj odległości garstkę Francuzów, pędzących przed sobą kilku znajomych nam mieszkańców naszego miasteczka. Tych biédnych mieszczan wygnali Francuzi z ich palących się domów, do których oni w celu ratowania zajrzéć się ośmielili, a potrącając ich przed sobą kolbami, zmuszali do uprzątnienia i pogrzebania przy moście w boju wczorajszym poległych żołniérzy.

My zaś pospieszyliśmy uciec co prędzéj z pod bramy i wrócić do naszego schronienia.

Po południu, gdy już pochody wojska, z wyjątkiem niektórych ztrudzonych włóczęgów, całkiem prawie ustały, odważyliśmy się, ja i mój szkolny towarzysz, wyjść tylną fórtką do pobliskiego ogrodu, którego wyższa część do klasztoru przytykająca, od wielu lat była bardzo rzadko zwidzana i gęsto dzikiém krzewiem zarośnięta. Gdzieniegdzie widać było jeszcze na tém samotném miejscu pozostałe szczęty posągów dawnych greckich bogów i bohaterów.

Ztąd można było widzieć most przez Francuzów na prędce z czółen różnego gatunku zbudowany, przez który rano, znaczne oddziały jazdy i piechoty francuzkiéj do Styryi przechodziły.

Pomiędzy porozrzucanémi, zwietrzałémi już członkami połamanych posągów, ujrzałem nogę daleko jaśniejszéj barwy. Przystąpiłem bliżéj i poznałem, iż to była noga ludzka, najpiękniejszéj plastycznéj kształtności. Byłato odjęta dnia wczorajszego noga Kroaty, którą francuzcy chirurgowie przez to samo wyrzucili okno, pod którém ją dziś znalazłem.

Głęboki żal przejął nas na ten widok; łzy szczéréj litości spłynęły nam obu po licach, i postanowiliśmy nie dopuścić tego, aby noga wojownika, który tak mężnie cierpiał za ojczyznę, trupieszała na wietrze; zamierzyliśmy ją oddać wspólnéj naszéj matce, oddać łonu ziemi.

Wykopaliśmy spiesznie jakąś zardzewiałą bez trzonka motyką mały grób, złożyliśmy weń nogę i obrzucili ją kwiatami, a usypawszy małą mogiłę, ustawiliśmy na niéj duży kamień z piedestału zburzonego posągu Herkulesa.

Na tym kamieniu wyżłobiłem nożem tak dobrze jak tylko mogłem, krzyż święty i ówczesny rok 1809; poczém zdjęci rzewném religijném uczuciem, zmówiliśmy modlitwę.

Co uczyniwszy, zadowoleni w duszy postępkiem naszym, wyszliśmy z ogrodu i powrócili cichaczem tą samą fórtką do zabudowania klasztornego.

Z powodu niektórych rabunków popełnionych na kilku mieszkańcach w okolicy, nieśmiałem już piérwéj opuszczać z moim przyjacielem klasztoru, aż póki spokojniejszy czas nie nastąpił.

Wreszcie po kilku tygodniach nie było już żadnego niebezpieczeństwa; stanęło zawieszenie broni, a ja opuściłem widowisko najpamiętniejszéj epoki mojego życia, aby się moim dalszym poświęcić naukom, które to wojenne intermezzo było przerwało.

Od tego czasu lata minęły.

Ostatnia scena tego olbrzymiego i w dziejach niesłychanego dramatu, już była odegrana; grzmoty bitwy pod Waterloo były już dawno przebrzmiały, a ów sławny śmiertelny, w którego osobie — jak się jeden z nowszych dziejopisarzów wyraża — w przeciągu dziesiątka lat, wszystkie się stulecia rzymskich dziejów z ich królami, konsulami i cesarzami potężnie połączyły, — ów śmiertelny — już był skończył swoje na ziemi posłannictwo i tylko swojéj ostatniéj godziny na skale ś. Heleny oczekiwał, — gdy mnie jednego lata sprawunki familijne do Karlsztadu w Kroacyi powołały.

Zaraz piérwszego dnia przybycia mojego zwidziłem ładną kawiarnię na Rakowackiém przedmieściu.

Lecz któż zdoła opisać moje zdziwienie, gdy wchodząc do sali poznałem mego Kroata z roku 1809, któremu wtedy nogę w mojéj obecności odjęto.

Tenże sam żołniérz, Kroat, którego pię-

*

kne, męzkie rysy, tkwiły mi jeszcze dotąd żywo w pamięci, siedział teraz w porządném miejskiém ubiorze przy stoliku i palił fajkę. Ledwiem własnym oczom uwierzył.

Nareszcie powstał i opuścił spiesznie kawiarnię.

Więc się nie omyliłem. Chodził na szczudle.

Aby się jednak pewniéj przekonać, pospieszyłem tuż za nim na ulicę i przedstawiłem mu się jako świadek jego amputacyi z roku 1809.

Jego zdziwienie i wyznanie, iż on jest tym samym, dowiodły mi dostatecznie, żem znalazł prawego właściciela pogrzebanéj przeze mnie nogi. Żywy udział, jaki po tylu latach okazywałem dla losu biédnego, nieznajomego kaléki, sprawił mu tak wielką i szczérą radość, iż mi rozczulony, jakby swemu dawnemu znajomemu, rękę uściskał.

Przyjąłem chętnie zaproszenie udania się z nim do jego domu, aby, jak się wyrażał, pogadać nieco o tych wojennych czasach, w których on sam czynną odgrywał rolę.

Zatrzymaliśmy się na przedmieściu B a n i n a, przed małym schludnym domkiem, u którego drzwi, otoczona gronem kwitnących dziatek, siedziała śliczna kobiéta, zajęta ręczną domową pracą. Byłato żona wraz z dziećmi mojego towarzysza.

Weszliśmy do czystego pokoju, którego urządzenie świadczyło o niejakiéj zamożności mieszkańców. Kazał przynieść wina, a wychyliwszy kilka śklanek na dobre powodzenie naszéj nowo zabranéj przyjaźni, czyniliśmy sobie wzajemne zapytania i objaśnienia, które nam wiele z przeżytych przez nas wypadków nanowo w pamięci odświéżyły.

Nie mógł on wprawdzie sobie przypomnieć, żem przyświécał pochodnią gdy go do operacyi niesiono, lecz w jego ówczesném położeniu między życiem a śmiercią, byłoto ze wszech miar niepodobieństwem.

»Cierpienia —« mówił mój gospodarz w toku naszéj rozmowy, — »cierpienia jakie opatrzność na ludzi zsyła, bywają nieraz istotnym powodem ich szczęścia! Mówię to z przekonania.«

»Patrz pan,« prawił daléj, »jestem synem tutejszego publicznego nauczyciela. W młodości mojéj oddawałem się naukom, malowałem portrety i pisałem wiérsze. Chciałem widzieć świat i zasłynąć w jakiéj sztuce albo umiejętności. Tysiąc dziwacznych planów snuło mi się po głowie.

»Gdy oto nadszedł pamiętny rok 1809. Ojczyzna wezwała swych synów do obrony. Zostałem żołniérzem, a kilka funtów żelaza nadały zupełnie inny kierunek mojemu życiu, i zwróciły mię w to ciasne — lecz błogi spokój duszy użyczające — domowe, rodzinne życie. Szczęśliwszym, czuję to teraz dobrze, byłoby mię urzeczywistnienie moich najśmielszych urojeń nie uczyniło.

»Nieraz, wierzaj mi wpan, dziękowałem niebu za moje szczudło.

»Utraciłem nogę, lecz pozyskałem największe szczęście mężczyzny na tym świecie — wierne niewieście serce!

»Teraz prowadzę mały zbożowy handel, żyję bez wszelkiéj troski, a co wszystkie skarby świata przechodzi, jestem szczęśliwym małżonkiem i ojcem!

»Tak jest, łagodne roskosze domowego pożycia są najmocniejszą tamą przeciw burzom namiętności, które w zamęcie świata tyle już najpiękniejszych dusz zgubiły.«

Na moje zapytanie, jakie było jego dalsze powodzenie po owéj operacyi, odpowiedział: »W kilka tygodni wypuszczono mię ze szpitalu i przykulałem tu do méj ojczyzny, gdzie u rodziców mojéj naówczas kochanki a terazniejszéj żony, znalazłem najtroskliwsze przyjęcie, dopokąd moja rana zupełnie się nie zgoiła.«

Tu spojrzał mówiący z wdzięcznością na swoją żonę, która tymczasem usiadła koło nas przy stoliku, a któréj pogodne lice jaśniało niebem dobroci.

Wtedy ujrzałem na przeciwległéj ścianie krucyfix, a pod nim małą miniaturę, któréj dobrze trafiony oryginał siedział w postaci małżonki opowiadającego Kroata.

Poznałem natychmiast ten obrazek. Byłto ten sam, na którego widok mój gospodarz będąc jeszcze żołniérzem, zdawał się przy odjęciu swojéj nogi w roku 1809., zapominać wszelkich boleści.

Zapytany potwierdził moje domniemywania i rzekł wskazując na swoję żonę: »Nie mylisz się wpan, onato jest tym aniołem, któ-

rego przeze mnie samego malowany obraz był mi wraz z Bogiem przewodniczą gwiazdą mojego wojskowego zawodu, i który mi jeszcze teraz moje kalecze życie osładza. »O, niech cię Bóg« — mówił dalej całując żonę — »niech cię Bóg w długie lata dla mnie i dziatek naszych zachowa!«

Żona, zamiast odpowiedzi otarła sobie łzę z oka i ścisnęła mu rękę w milczeniu.

Ja zaś błogosławiłem jego szczęściu posiadania takiéj, od wszystkich skarbów świata droższéj towarzyszki życia, nie odwracacającéj swego wiernego serca od kochanka, który poszedłszy na wojnę urodziwym młodzieńcem, powrócił kaleką.

»Czy przypominasz sobie wpan tego śmiałego francuzkiego oficera, który wtedy na czele garstki Francuzów przez palący się most przeszedł?« zapytałem mojego gospodarza.

»I owszem,« odpowiedział tenże; »poznałbym go od razu, gdybym go dzisiaj zdybał.

»Ten człowiek« — mówił dalej — »wzbudził we mnie uszanowanie dla nieprzyjaciela i przekonał mię: iż pomiędzy potworami rewolucyi, jakich wtedy jeszcze pełno było w wojsku francuzkiém, znajdowały się najzaszczytniejsze wyjątki.

»Jednego razu, gdy tocząca się pod Ratysboną wojna ustała była na chwilę, widziano bandę pięciu francuzkich żołnierzy, napadającą na dom przy Dunaju. Wkrótce potém dał się słyszéć krzyk kobiét wzywających pomocy.

»Pewien młody francuzki oficer, który tamtędy właśnie przechodził, wbiegł natychmiast do domu i ujrzał dwie niewiasty, będące w niebezpieczeństwie doznania najsroższéj hańby przez tych złoczyńców. Oficer zgromił ich rozkazującym tonem za taki niegodziwy postępek, lecz ci zbójcy, wypuściwszy kobiety, rzucili się z bronią w ręku z największą wściekłością na nieproszonego pośrednika. Młody nieustraszony oficer stanął przed kobietami, wyrwał w mgnieniu oka jednemu ze swoich przeciwników karabin z ręki, odepchnął go nim od siebie, i oganiając się od reszty, zmusił wszystkich do ustąpienia z domu.

»Jeszcze nigdy nie widziałem aby kto tak doskonale robił bagnetem.

»Obie ocalone kobiety zaprowadził do drugiego w pobliżu domu, przed którym dwóch francuzkich żołniérzy na straży stało. Tym je oddał z rozkazem, aby strzegli tymczasem ich bezpieczeństwa.

»Kobiety, zapewne matka i córka, chciały przez wdzięczność upaść do nóg spaniałemu obrońcy, ale ten je wstrzymał z grzecznością, odezwawszy się po niemiecku: »Moje panie, czyn, przez który miałem szczęście paniom dzisiaj usłużyć, jest obowiązkiem każdego oficera, ceniącego honor swego narodu.«

»Młodsza z obudwu dam, dziewczyna rzadkiéj krasy, wzięła niewiedząc nawet co czyni, obrońcę swego za rękę która ją ochroniła, a w jéj pełném uczucia oku zadrzała łza, wyrażająca może więcéj niż samę wdzięczność dla pięknego młodego wojownika, który z niebezpieczeństwem własnego życia zbawił ją od najsroższego losu.

»Młody Francuz zdawał się także tą uroczystą chwilą swojego życia być żywo przejętym, chwilą, w któréj najczystsza, szlachetnym czynem zyskana miłość, miała do jego serca zawitać — i wahał się odejść.

»Wtém padło kilka wystrzałów od Dunaju; zagrzmiały trąby i bębny; odwoływało go przeznaczenie z objęć istot które ocalił, i gnało go na pole morderczych kul, które ani na miłość ani na życie nie zważają!

»Byłem wówczas, z kilkoma z naszego pułku, jeńcem wojennym, i tylko o dwa lub trzy domy oddalonym świadkiem téj całéj sceny, któréj doziérające nas straże z obojętnością się przypatrywały.

»Jeden z naszéj eskorty, stojący tuż przy mnie, człowiek z prawdziwą miną tygrysią, dawny sankulota zapewne, rzucał urągające spojrzenia na szlachetnego oficera, i nie było wątpienia, jakiéjby się był chwycił strony, gdyby tylko mógł był opuścić swe stanowisko.

»We dwa dni po tém zdarzeniu, powiodło mi się umknąć z niewoli. Stanąłem przy mojéj kompanii właśnie jedną nocą przed potyczką na moście, gdzie mię owa działowa kula dosięgła.

»I tutajto spotkałem tego walecznego oficera z Ratysbony, jako dowódzcę nieprzyjaciół.

»Poznałem go natychmiast po jego uniformie i jego prawdziwie bohatérskich rysach; a ten więc człowiek, zaledwie o 70 kroków odemnie oddalony, znajdował się teraz w mocy méj kuli, która rzadko swego celu chybiała.

»Moje żołnierskie sumienie nakazywało mi wprawdzie nie litować się nad nim; ale jego spaniały czyn w Ratysbonie przemawiał za nim głośno do mego serca. Zabójcze moje groty padały tuż koło niego na bliższych jego rodaków. Kilka razy i na niego mierzyłem, lecz nie mogłem się odważyć zgubić to życie, w które, tak piękny czyn był wpisany. Niepodobna mi było stać się jego mordercą — i wyszedł téż wolny od mojéj kuli.

»Napoleon, który żadnego pomyślnego bohatérskiego czynu bez nagrody nie pominął, i który sam był świadkiem jego męztwa, ustalił, jakem się późniéj od francuzkich jeńców dowiedział, szczęście tego człowieka, którego życie wtenczas od lekkiego pociśnięcia mego palca było zawisłe. Postępował szybko na wyższe stopnie, towarzyszył Napoleonowi jako pułkownik na wyspę Elbę, a poległ jako brygadyjer na polach pod Waterloo, ugodzony angielską kulą przy boku swego cesarza.« —

Powieść o tym francuzkim poruczniku, dozwoliła mi zajrzeć głęboko w szlachetny charakter mojego gospodarza i powiększyła nadzwyczajnie moje poważanie dla jego osoby.

Tak spaniałomyślnego czynu i takiego umiarkowania w zapale bitwy, mogłem się spodziewać po człowieku, który, jakem sam się przeświadczył, znosił z bezprzykładną obojętnością najsroższe cielesne męki.

W tym względzie zasługuje nasz prosty Kroat słusznie na porównanie z wielkim Moreau, który we cztéry lata późniéj od działowéj kuli pod Dreznem tegoż samego doznał losu. Obaj bohatérowie, austryjacki prosty strzelec, i francuzki wielki naczelnik, palili ze stoiczną spokojnością fajkę przy swojéj amputacyi, i znosili traiczne wypadki z prawdziwą pogardą śmierci.

Gdym mojemu gospodarzowi powiedział, żem jego odjętéj nodze pogrzeb sprawił, podziękował mi rzewnie za tę ostatnią przysługę, prosząc mię, abym — jeżli mi się zdarzy sposobność — pokropił święconą wodą grób jego nogi.

Przyrzekłem to uroczyście i dotrzymałem w lat kilka słowa.

Zatopiony w naszych rozpamiętywaniach, rozstałem się późno w noc z moim uprzejmym gospodarzem i jego miłą rodziną; lecz musiałem im przyrzec, że ich jeszcze przed moim odjazdem często odwidzać będę.

Nie omieszkałem odpowiedzieć ich zaproszeniu, a przy każdych odwidzinach, jakie w krótkim przeciągu bawienia mego w Karlsztadzie czyniłem memu walecznemu Kroatowi, przekonywałem się coraz widoczniéj o jego domowém szczęściu, którego mu téż za jego wojenne cierpienia z całéj duszy życzyłem.

Od tego czasu nie byłem więcej w Karlsztadzie, ale ile razy przejeżdżam przez moje rodzinne miejsce, nie zapominam nigdy odwidzić grób nogi Kroata, który i w nieprzyjacielu umiał cenić cnotę, a będąc żołnierzem, nie przestał być człowiekiem!

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 21. i obejmuje: 1) O podsiéwaniu koniczynnego pola, przez K. J. Turowskiego. 2) Jaka jest siła pożywna braby, i jak jéj dochodzić należy? przez J. Żywickiego. 3) Jeszcze kilka słów o utrzymywanin rogacizny i owiec przez lato na stajni. 4) Jeszcze słówko o myciu wełny owczéj. 5) O ochwaceniu koni. 6) Owady szkodliwe zasiéwom ozimym. 7) Wiadomość o lekarstwie na wściekliznę. 8) Jak się robi hamburski pekelflajsz? 9) Sposób marynowania ryb. 10) Jak klarować mętne wino?

Dziennika mód paryskich, pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Nr. 11. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Odwidziny w domu szalonych. (Dokończenie.) 2) Śmierć róży i dziewicy, wiérsz Leona J*. 3) Uczta Elizejska (z Szyllera) przez A. G. 4) Dwa nowe dzieła Józefa Korzeniowskiego: I. Panna mężatka, II. Okno na piérwszem piętrze. 5) Przesądy, powieść Adama Kłobukowskiego.

Z Warszawy. *Przegladu naukowego* Nr. 8. i 9. zawiéra: O niezbadanych dotąd sposobach powstawania istot organicznych, przez dokt. Galli. — Fantazyja przez D. — Jeszcze o oczynszowaniu, przez Józefa K. — Monografije miast: Kozienice, przez Hip. Skimb. — Werner, czyli: Dziedzictwo, trajedyja Bajrona przekł. A. Zawadzkiego (Akt I.) — Kilka wyjątków ze zbioru pod nazwą: Mój sposob widzenia rzeczy, myśli i pomysłów, przez Marcina Ossoryję. — Od wydawcy. — Korrespondencyja z Francyi. — Kronika pismiennicza polska.

Najznakomitsze dzieła, jakie Thorwaldsen pozostawił, są następujące: Kolosalny posąg Jasona, zamówiony niegdyś przez holenderskiego bankiera Hope; Mars, Adonis, trzy gracyje, muzy, Achil, Merkury, madonna z dzieciątkiem przeznaczona do Neapolu, Chrystus i dwunastu apostołów, dla katedry kopenhagskiej; statuy wyobrażające dzień i noc dla miasta Rzymu; pomniki papieża Piusa VII., księcia Poniatowskiego, który miał być wystawiony w Warszawie, księcia Eugenijusza Leuchtenberga, dla Mnichowa, Gutenberga dla miasta Moguncyi, i długi szereg płaskorzeźb przedstawiających wjazd Alexandra wielkiego do Babylonu, które były niegdyś zamówione przez Napoleona, a teraz zdobią wielką audyjencyjonalną salę królewskiego pałacu w Christiansburgu. Do tych uwielbianych arcydzieł sztuki należy jeszcze policzyć następujące twory: Heliodora, którego wyganiają z kościoła; Priama i Achilla; świętego Piotra, wyzdrawiającego kalékę; Bachusa; Apollina, Herkula i Hebę; Jowisza i Nemezę; boginie prawdy i lekarnictwa; wreszcie pomnik na cześć Dantego, mający być wystawionym w Florencyi, a drugi na pamiątkę poległych dnia 10. sierpnia 1792 szwajcarów.

Diabeł w Paryżu. Suego obrazy, jako ciemne strony paryzkiego życia, wywołały dzieło przeciwne, które bez wątpienia pomyślnym skutkiem uwieńczone zostanie, gdyż maluje jasne strony stolicy. Dzieło to, którego pierwszy zeszyt już wyszedł, nazywa się »*Le Diable à Paris*« i nosi na czele zaspokajające godło: »*Le diable n'est pas si noir;*« — nie taki diabeł czarny... Najzawołańsze pióra przyrzekły lub nadesłały już swe artykuły, w których ma panować najswobodniejsza rozmaitość, tak iż powieść i romans, dyjalog i opowiadanie, obrazy obyczajów i osób, krytyka i statystyka, z dodaniem winietów i rycin objaśniających opisowane przedmioty, wszystko tam znajdzie miejsce. Pani George Sand rozpoczyna chorowód ogólnym rzutem oka na Paryż *(coup d'oeil général sur Paris)*, podczas gdy Leon Gozlan tłumaczy »co to jest Paryżanka?« Balzak wykłada »filozofiję małżeńskiego życia w Paryżu« i t. p. Oprócz tychże wymieniają pp. Alfreda i Pawła de Musset, Eugenijusza Sue, Alexandra Dumas, Jules Janin, i wielu innych słynnych pisarzy jako współpracowników Diabła w Paryżu.

Koncert Liszta w teatrze włoskim w Paryżu był ostatnią razą tak bardzo publicznością przepełniony, iż nawet najwyższe galeryje zajął sam dobór towarzystwa. Oklaski, oddawane artyście, były w właściwym tego słowa znaczeniu, podobne do burzy gradem wichrzącej. Mówią, iż po koncercie kazali nadzorcy teatru wszystkie rzucone na koncercistę bukiety i wieńce zawieźć na dwóch wózkach do najbliższej przekupki, aby je poraz drugi Paryżanom sprzedała.

Poskramiacze słoniów, wężów i kobiet na wyspie Ceylon. Najstraszniejsze zwierzęta wyspy Ceylon, słonie i węże, pomimo niebezpiecznej broni, jaką ich natura obdarzyła, dają się przecież poskromić od pewnego rodzaju kuglarzów, których tam czarodziejami nazywają. Pułkownik Campbell przytacza kilka tego przykładów. »Szczególnie jeden z tych czarodziejów« — opowiada on — »zdziwił mię swoją wprawą i swoją niesłychaną śmiałością. Nie widziałem jeszcze nikogo, coby się tak obojętnie z jadowitym wężem *Cobra de Capello* obchodził. Miał on jedno z tych strasznych zwierząt, które z taką bezpiecznością bił i drażnił, iżem był prawie przekonany, że mu umiał odjąć władzę szkodzenia. Tymczasem rzecz się miała inaczéj. Złożywszy sobie bowiem rozzłoszczonego węża na piersiach, otworzył mu na mój rozkaz paszczękę i pokazał mi jego jadowite zęby w nienaruszonym stanie! Zapytałem go czyby mię też ukąsił, gdybym go się chciał dotknąć. — »Niezawodnie,« odpowiedział i skrył go czémprędzéi do worka, który wężowi za więzienie służył. — »A miałżebyś także odwagę« — pytałem go się daléj — »obchodzić się podobnie z wężem, któregobyś znalazł w lesie?«— »Nie,« odparł kuglarz — »lecz potrzebuję najwięcéj dwa dni, aby najdzikszego oswoić. Ten któregoś pan tu widział, jest dopiero od czternastu dni schwytany i nic jeszcze przez cały ten czas źréć nie dostał.« Przy pożegnaniu chciałem mu wetknąć kilka złotych, lecz ich nie przyjął. Mój towarzysz, jeden z najznakomitszych krajowców, zapewniał mię, iż to jest jeden z najzręczniejszych czarodziejów na całéj wyspie. Jakim sposobem zdołał osiągnąć tak zadziwiającą przewagę nad jadowitym gadem, tego nie mogłem dojść żadną miarą; sądzę jednak, iż to tylko swojéj śmiałości winien.« — Jakkolwiek dziwną zdaje się powyższa anegdota, tak osobliwszą jeszcze jest druga, następująca, którę tenże pułkownik Campbell opowiada: »Kapitan L* który teraz dowodzi załogą w Padenny, poszedł był niedawno na polowanie słoni. Ledwie wstąpił do lasu, już ujrzał słonia i zmierzył do jego głowy, lecz wystrzeliwszy pospiesznie, nie trafił go w głowę, tylko w szyję. W oka mgnieniu rzucił się wściekły zwierz na nierozważnego strzelca, który się już prawie pod jego trąbą znajdował i miał zginąć najokrutniejszą śmiercią. Gdy oto w téj samej chwili wyskoczył jakiś krajowiec osady Kandi, wyrzekł szybko ale wyraźnie słów kilka i zmusił niemi słonia do zatrzymania się na miejscu. Poczém wyciągnął ku niemu obie ręce i znowu jakieś słowa bardzo głośno wymówił. Na te ruchy i słowa, odwrócił się słoń natychmiast i uciekając i rycząc straszliwie, gruchotał drzewa, jakie napotkał w drodze. Skoro kapitan L* odetchnął cokolwiek z swojego przestrachu, zapytał gdzie się podział jego wybawca. Powiedziano mu iż znikł w gęstwinie, chociażby i tak był nieprzyjął żadnej nagrody. Również i ten nieznajomy wybawca kapitana, miany był za jednego z najbieglejszych czarodziejów cejlońskich. Tego samego wieczora, gdyśmy tę dziwną przygodę z ust kapitana L* usłyszeli, opowiadał nam królewski inżynier F. następujące zdarzenie: Pewna kobieta z Kandi, mieszkająca o dwie angielskie mile od Kurnugalla, dostała jednego razu tak gwałtownego pomieszania zmysłów, iż ją wszyscy za opętaną od diabła mieli. Sześciu mocnych ludzi nie mogli jéj utrzymać, tak nadzwyczajnie natężała swe siły. Rodzice jéj wezwali sławnego czarodzieja, o którym sądzili, iż tylko on jeden potrafi wyleczyć nieszczęśliwą. Nie bez trudności otrzymałem pozwolenie być obecnym przy téj exorcyzacyi. Czarodziéj przyniósł trzy małe gałązki z sobą. Zaczął swą operacyję od tego, iż napominał wszystkich obecnych aby się jak najciszej zachowali, gdyż inaczéj za niczyje życie nie ręczy. Poczém zbliżył się do choréj i dotykał co trzy minut z-lekka końcem swéj rószczki jéj głowy, piersi, ramion i nóg. Po upływie pół godziny, rozkazał ją trzymającym ludziom puścić. Zdawała się w głębokim śnie spoczywać. We dwie godzin późniéj wstała, nie mając na pozór najmniejszéj pamięci o tém co się z nią działo i udała się spokojnie do swoich zwykłych zatrudnień.«

Teatr w Sztutgardzie ma być znacznie zwiększonym i na wzór drezdeńskiego przebudowanym. Król wyznaczył 350,000 reńskich na tę budowę; nie sądzą jednak aby ta summa wystarczyła. Piękne świątynie sztuki powstają teraz wszędzie, lecz gdzież się sztuka

podziała! Te okazałe mury, nie podobneż one teraz prawie wszędzie do pysznych katakombów, w których sztuka pogrzebaną spoczywa?!

Uprzejmy nieznajomy. Pewien młody rzemieślnik udał się z Brest do Morlaix, aby tam swoich krewnych odwidzić. W małém miasteczku Landerneau, leżącem między wspomnionémi miastami, wstąpił na śniadanie do oberży i usiadł sobie przy stole nakrytym na kilka osób. Przekonał się jednak wkrótce, iż to nie dla niego miejsce, weszło bowiem kilku podróżnych i usiadło przy stole, który się zdawał umyślnie dla nich nakrytym. Zmieszał się nie mało i chciał odejść, lecz jeden z podróżnych gosci zatrzymał go uprzejmie i wezwał bardzo grzecznie aby pozostał na swojém miejscu i jadł wraz z nimi. Rzemieślnik nie dał się długo prosić i bawił się przez cały czas jak najlepiéj w ich towarzystwie, zwłaszcza że mu potrawy i wino wybornie smakowały. Po skończonym obiedzie chciał płacić, ale gospodarz nie przyjął pieniędzy — gdyż nieznajomy, który tak go grzecznie i uprzejmie zaprosił — był nie kto inny jak — książę Joinville, syn królewski!

Protekcyja. Dziennik »*Siecle*« opowiada, iż do pewnego urzędnika, który zajmował bardzo zyskowną posadę w ministerstwie, przyszedł był dawny jegu przyjaciel w odwidziny. »Mój drogi przyjacielu,« ozwał się gość do urzędnika, »przychodzę z prośbą do ciebie. Nie mogę już wytrzymać dłużéj w mojém małém rodzinném mieście: postanowiłem więc nie wracać tam więcéj, i osiąść na zawsze w Paryżu.« — »Bardzo szczęśliwa myśl!« odrzekł urzędnik. »Lecz abym mógł mieszkać w Paryżu, potrzeba mi......« — »Pieniędzy?« przejął mu mowę urzędnik, rzucając niespokojném okiem na otwartą szufladę biurka. — »Dobrze mowisz, pieniędzy, których wszakże nie żądam od ciebie, lecz od budżetu.« — »I to bardzo szczęśliwa myśl,« rzekł uspokojony urzędnik. — »Lecz abym się mógł udać w tym celu do budżetu, potrzebuję tytułu, to jest urzędu, i mam już jeden na oku.« — »Jakto, czy jakie opróżnione miejsce?« — »Ach bynajmniéj! Pamiętam dobrze, co powiedział Talleyrand: Miejsce opróżnione znaczy tyle co już zajęte.« — »Wyborną widzę wziąłeś naukę, i zajdziesz nią daleko.« — »Tak się spodziewam. Wyrobiłem sobie usilne zalecenia od najpierwszych urzędników z prowincyi. Teraz przychodzę prosić ciebie abyś mię wsparł swoim wpływem.« — »Moim wpływem?« powtórzył urzędnik, pochlebiony wyrazem przyjaciela. »Tak jest — słyszałem iż jesteś bardzo dobrze z panem M*, na którego protekcyi wszystko zależy.« — »Prześlicznie! Pan M* jest jednym z mych przełożonych, i bardzo łaskawym dla mnie.« — »Słówko twoje za mną byłoby mi wielką pomocą.« — »Napiszę natychmiast i polecę cię jak najsilniéj.« W samej rzeczy napisał urzędnik, iż jego przyjaciel godnym jest względów rządu i wielce przydatny na posadę, o którę się ubiega. — Następnego poranku, gdy nasz urzędnik wszedł do biura, otrzymał natychmiast wezwanie stawienia się przed przełożonym, który mu pokazał prośbę przyjaciela z prowincyi. A teraz się pokazało, iż przyjaciel, którego tak gorliwie wsparł swoim wpływem, starał się właśnie o jego miejsce. Trudno było odgadnąć czy to był przypadek lub podstęp; jednakże sądzono, iżby było dowcipnie zastąpić protektora protegowanym. Sposobność zrobienia coś dowcipnego, zdarza się tak rzadko w ministerstwie, iż niechciano pominąć nastręczającéj się sposobności, a usłużny Mecenas nie mało miał kłopotu, nim się mu powiodło przeszkodzić rządowi, popisania się z jego szkodą dowcipem!

Osobliwszy proces. Niedawno temu zasięgnięto zdania uniwersytetów Oxford i Cambridge w trudnéj do rozstrzygnienia sprawie. Lord F... miał arabskiego konia, który, jak niegdyś Bucefalos, nie cierpiał na sobie żadnego innego jeźdzca prócz swego pana. Tenże ofiarował każdemu zakład i ogłosił na piśmie: »Lord F... stawia 100 funtów przeciw połowie, iż jego arabski ogier, Hassan Mokka, zrzuci w przeciągu pięciu minut każdego jeźdzca na ziemię.« Master Crown, zapamiętały ujeżdżacz koni, przyjął zakład, dosiadł dzikiego rumaka i zwrócił go ku lipowéj alei w Newmarket. Zaledwie się jednak mocno usadowił na siodle, już koń stanął dęba i miał go rzucić o ziemię; ale śmiały jeździec położył się na głowę rumaka, przygniótł go swoim ciężarem na przednie nogi i zaciął biczykiem. Teraz dopiero uczuwszy koń elektryczne uderzenie, wierzgnął dziko tylnémi nogami a jeździec podleciał przynajmniéj o dwa łokcie w górę; jednakże lecąc uchwycił się z wielką przytomnością umysłu zwisającéj lipowéj gałęzi, a tak wisząc przez pięć minut w powietrzu, nie spadł, lecz skoczył na ziemię. — Teraz idzie o to, kto ten zakład wygrał?

Środek, w naszych czasach bardzo przydatny. W wyszłej niedawno w Sztutgardzie książeczce o środkach sympatycznych, czytamy następujący przepis: Aby komu pieniędzy nigdy nie ubywało. Wyjmij jaskółcze jajo z gniazda, ugotuj je na twardo i włóż je nazad do gniazda, a po trzech dniach znajdziesz tam korzonek, który jaskółka przyniosła, aby zgotowane jajo odświeżyć. Ten korzónek trzymaj w sakiewce, a wszystkie wydane pieniędze będą wracały do ciebie.« Książeczka ta jest drukowaną w Niemczech, w roku 1840!!!

Strata Hamburga z okropnego pożaru w roku 1842, wynosi podług urzędowych wykazów 38,442,062 *mark-courant* czyli prawie 115 milijonów zł. pol.

Hebrejski egzamin. Pewien kandydat teologii zastał przed swoim ostatnim egzaminem u jeneralnego superintendenta jakiegoś podeszłego już mężczyznę, który mu się ciężko stroskanym być zdawał. Z żywym udziałem zapytał go kandydat o przyczynę jego stroskania. »Mam być egzaminowanym;« odpowiedział, »przez dwadzieścia lat musiałem się nauczaniem drugich zajmować i zaniedbałem zupełnie język hebrejski, na który tutaj tak wielką wagę pokładają; ach cóż się ze mną stanie!« — »Uspokój się pan,« odrzeknie młodszy, który miał dokładną znajomość języka hebrejskiego, »może będę mógł panu wtém pomódz.« Egzamin zaczął się od młodszego. Wiadomości jego były zadowalające, osobliwie zaś zdziwił egzaminatora swoją biegłością w hebrajszczyźnie. »Gdzieżeś pan nabył takiéj wprawy w tym języku?« zapytał jeneralny superintendent. »Oto mój nauczyciel!« odpowiedział młody mężczyzna, wskazując na swego stroskanego kolegę. Egzaminator, który sam nie był bardzo mocny w téj umiejętności, nie śmiał nawet zapuszczać się w rozprawy o niej ze starym, i oświadczył, iż jest dostatecznie o jego biegłości w języku hebrajskim przekonany.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.

Dodatek prywatny do Nru 21. Rozmaitości Lwowskich.

Do . . . .

Bądź wesołą mój Bozgu, jak dnie pięknéj wiosny,
Bądź szczęśliwą me życie, jak jeleń roskoszny,
Niech Ci niebo tak sprzyja, jak wierny kochanek,
Niech Ci radość uwieńcza, jak luby poranek.
Żyj szczęśliwie, wesoło, jak rany skowronek,
Niech Ci błogie dnie ścielą, jak z barwinku wianek.
Zapomnij nieszczęsnego N. który Cię zwie Bogiem,
Ty zapewnie wiész dobrze, że Ci nie był wrogiem;
Kocha on Cię nad życie, nad swe własne siły,
Kamień Ci da świadectwo, méj własnéj mogiły,
Zatw rdzi mą przysięgę czynioną tajemnie,
Żem Cię kochał, ubóstwiał, chociaż niewzajemnie.
Jestem wszędzie nieszczęsny, Twą cienią scigany,
Biedny, nędzny, strudzony, żałobą znękany;
Na cóż nieszczęsnemu juz drugi raz ocaliłaś życie
Kiedy nié ma téj łaski, służyć Ci na wieki!
Piękne cudo Natury! Bozgu luby, drogi,
Nie chcę Ci być natrętnym, o tém świadki Bogi!
Wolę umrzéć nieszczęsny, wolę znosić głogi,
Niżli stać się ciężarem przed Twojemi progi,
Wolę znosić niedolę, i być zarobnikiem
Niżli zrzec się N. nie być niewolnikiem;
Wolę zostać żebrakiem, ostatnim nędzarzem,
Byle tylko przy Tobie, przed Twoim obrazem.
Tego pragnę i żądam, jak z niebios anioła,
Tego żąda, tego pragnie tego serce woła.
Kto jest twórcą tych wierszy, piękna czarodziejko
O tém wiész Ty! i pierś Twoja, zapewne najlepiéj.

. . . .

Łowiec Alpejski.

(Tłomaczenie z Szyllera.)

Nie chcesz jagnię paść mę dziecie,
Co ma cichy skromny ród?
Jagnie spasa trawę, kwiecie,
Jgra po nad brzegi wód.
»Matko, matko, nie chciéj bronić,
W dzikich górach zwiérza gonić!«

Nie chcesz lepiéj trzodę nęcić,
Wygrywając wdzięczny spiéw?
Miłe flet twój będzie dzwięczyć,
Budząc Echo leśnych drzew.
»Matko, matko, nie chciéj bronić,
Chcę po dzikich górach gonić!«

Nie chcesz pilnować kwiateczek,
Co przy krasie ronią woń?
Tam nie kwitnie ogródeczek,
Dzikich gór jest dzika skroń!
Niech kwitną kwiatu bukiety,
Pójdę matko na gór grzbiety!

I szedł na łów chłopiec młody,
I chęć go pędzi, i rwie,
I nie zważa na przygody
W ciemne góry puszcza się.
Przed nim chyża gdyby strzała
Gazella się pomykała.

I na nagiéj skały boki
Wynosi ją lekki krok,
A gdzie dwoją się opoki
Żwawy ją przesadza skok;
Za nią ściga łowiec śmiały
Niosąc w ręku łuk i strzały.

Teraz na strome urwisko,
Na najwyższy wbiegła szczyt,
Przykro skała w dół się ciska
Znika ścieżki wszelki byt.
Pod nią przepaść się otwiera,
Za nią w ślady wróg naciéra.

I błaga twardego męża
O litość jéj niemy wzrok;

Darmo błaga, ón natęża
Cięciwę na zgubny krok.
W tém jawi się z skał szczeliny
Duch gór, obrońca zwierzyny.

I jął dłońmi swemi bronić
Udręczone zwierzę swe,
Śmierć, niedola muszą gonić
Z tobą, rzekł, aż w progi me?
Ziemia wszystkich jest gospodą,
Czego ścigasz za mą trzodą?

Józef Stupnicki.

Godność kobiét.

(Tłómaczenie z Szyllera.)

Cześć kobiétom! że jawnie i skrycie
Scielą kwiat róży w znikome życie,
I miłością szczęsną wieńczą skroń,
Jaśniejąc wdziękiem w skromnéj zasłonie;
Pięknych uczuć ogień wieczny płonie,
Przez ich najczystszą żywiony dłoń.

Z granic prawdy zbacza wiecznie
Męża nieugięta moc,
Myślą goni niestatecznie
W namiętności ciemną noc:
W dal chciwą dążnością pała,
Tocząc ciągły w sercu bój,
Przez niebiańskie nawet ciała
Wdziera śmiały pomysł swój.

Kobiéty przez czarowne spojrzenia,
Zbiega zniewalają do cofnienia,
Aby w obecność myśl zwrócić swą.
One dorastały przy swéj matce
Zwyczajem skromnym w rodzinnéj chatce,
Gdyż córy świętéj natury są.

Męża zamysł niezbłagany
Zbroi go w gwałt tylko sam,
W biegu życia niewstrzymany
Rwie zapory, nie zna tam.
To znów niszczy, co układa,
Gdyż spór wieczny w żądzach trwa,
To znów wzrasta, choć upada,
Podobien do hydry łba.

Lecz hołdując skromniejszéj zalecie
Kobiéty rwą obecności kwiecie,
Pielęgnują lubą troską ją.
Wolniejsze w zakresie swych czynności,
Bogatsze jak ón w swe wiadomości,
I bujniejszéj wyobraźni są.

Srogi, wzniosły, starcząc sobie,
W zimném łonie nie zna mąż,
Jaką rozkosz w serce obie
Żar miłości wlewa wciąż.
Ni ón zna dusz wzajemności,
Ni się w łzawy zmiękcza zdrój,
W saméj życia przeciwności
Stęża twardy umysł swój.

Jako w lekkiéj Zefira pogoni
Eolska arfa chyżo zadzwoni,
Tak równie czułe kobiéty są.
Od słabego udręczeń obrazu
W zdyma się łono lube, do razu
Oczy roszą się niebiańską łzą.

W krainie zarządu męża
Sroga przemoc prawo ma,
Słynie Scytyjczyk z oręża,
I niewolę Persa zna.
Żądzy wzajem toczą boje,
Gdy dziko, burzliwie wrą,
Eris głosi prawa swoje
Gdzie Charisy kroki mkną.

Lecz kobiéty słowy łagodnemi
Zwyczaju berło wiodą na ziemi,
Gaszą niezgodę, co węzły rwie.
Uczą, siły sprzeczne każdą dobą,
W przyjemnym kształcie objąć się z sobą,
I łączą, co wiecznie stroni się.

Józef Stupnicki.